

Fred. M. Withe.

Szkarłatna orchidea.

Przekład J. S.

Na szczęście w tej chwili wszedł Hasid z oznajmieniem, że śniadanie jest gotowe i towarzystwo udało się do sali jadalnej. Śniadanie przeszło w milczeniu przykrem. Lefroy z niecierpliwością czekał końca i zaraz po powstaniu od stołu pożegnał gospodarza, spieszenie wychodząc. Po drodze zwrócił się do swego sekretarza z zapytaniem:

— No i cóż Pan na to? Liczyłem z taką pewnością na skuteczność moich zabiegów, a tu teraz grozi mi kolosalne niebezpieczeństwo. Sądzi pan może, że istnieją dwie szkarłatne orchidee?

— Nie z pewnością nie! — odparł Manfred. — Jest to ta sama, którą obiecywałem sobie zdobyć dzisiejszej nocy. Frobisher ma ją przecież także dopiero od bardzo niedawnego czasu. Ale jeśli chan dziś do niego przyjdzie?

— To się nie stanie — przerwał Lefroy. — My oczywiście pójdziemy, ale jego wysokość nie — z powodu nagłej niedyspozycji. W rzeczywistości zaś z powodu innego: będzie on tak pijany, że nie będzie zdolnym opuścić swego mieszkania. Pójdę z panem, Manfredzie, — chciałbym omówić plan, który może nas jeszcze do celu doprowadzić.

Po chwili siedzieli już obaj przy butelce wina, paląc papierosy, w skromnie urządzonej pokoju Manfreda. Na stole leżała gazeta wieczorna. Manfred przejrzał ją pobieżnie, nagle jednak zdumiał się i niechętnie potrząsnął głową.

— Obawiałem się potrosze tego — rzekł zwracając się do hrabiego. — Oto niech pan posłucha:

„Motyle znikły i nie można ich odnaleźć! Mój przyjaciel skreślił kark — ja wyjeżdżam“.

— To ogłoszenie tyczy się mnie. Jest to wiadomość od mego agenta, który mi donosi, że jego współnikowi przydarzyło się nieszczęście i że szkarłatna orchidea została skradzioną. A że policja zapewne tą sprawą się zajmie, więc mój zaufaniec wołał się ulotnić tymczasem. Gazeta z pewnością zamieściła o tej historii jakiś większy artykuł, ale nim go przeczytamy, niech mi pan powie, co pan zamierza czynić.

Lefroy jednym tchem wychylił kielich wina, poczem odparł:

— Jestem w rozpaczliwym położeniu. Byłem najpewniejszy, że zdobędę szkarłatną orchideę.

— Wierzę. Cóż dalej?

— Byłem w nędzy materialnej. Koncesja na budowę kolei wydawała mi się prawie pewną. Byłem przekonany, że przekupię chana orchideą. Na konto więc koncesji zaciągnąłem u jednego z lichwiarzy żydowskich pożyczkę 20 000 funtów, dając mu rewers koncesyi.

Manfred spojrzał na hrabiego ze zdziwieniem.

— Jakto, przecież pan tego rewersu nie miał?

— Nie miałem, ale równoznaczne z nim listy i weksle. Stałszowałem więc potrzebny dokument w nadziei, że zmienię go później na prawdziwy. A teraz dostałem się w pułapkę. Może się znajdzie jakiś wybieg. Chan nie przyjdzie do Frobishera, my jednak tam pójdziemy. Pan w ciągu wieczora zachoruje i pójdzie. Podczas gdy ja zaabsorbuję całe towarzystwo, pan dostanie się do cieplarni i przywłaszczysz sobie orchideę.

— To nie możliwe!

— Przeciwnie. Odłamię pan tylko kawałek kory i odczepi roślinę. Zawiezie ją pan do mego mieszkania i ukryje wśród innych orchidei. Frobisher nigdy się nie dowie, co i jak się stało. Jutro orchideę otrzyma chan, a ja będę miał zapewnioną koncesję.

— Jeśli pan tego żąda, spróbuję! — Zgodził się Manfred. — Możemy jeszcze o tem później pomówić. A teraz zobaczmy, co gazeta pisze o morderstwie przy placu Lennox. Niech pan posłucha:

„Wczoraj wieczorem, ogrodniczek Silverthorn zwrócił uwagę na jakiś podejrzanym szmer w cieplarni przy placu Lennox. Jeszcze spać się nie położył, bo parę godzin przedtem zmarł był jego chlebodawca. Skoro wszedł do cieplarni, spo-

strzegł trupa nieznanego człowieka, rozciągniętego na ziemi. Kilka roślin, wśród nich parę rzadkich orchidei zerwanych było z pod szklanego dachu. W jaki sposób nieznamy dostał się do cieplarni, ogrodniczek pojąć nie może; z cieplarni nie prowadzą żadne drzwi do ogrodu. Badanie lekarskie wykazało, że nieznamy uduszony został grubym sznurem konopnym. Jutro odbędą się sądowe oględziny zwłok zmarłego“.

— No, cóż pan o tem sądzi? — zapytał Lefroy.

Manfred odrzucił ze złością gazetę.

— To przekleństwo, które spoczywa na poszukiwaniu szkarłatnej orchidei — odparł. — Zawsze krew i krew. Gdyby o mnie chodziło.

— O tem nie ma tu mowy! — przerwał mu Lefroy twardym głosem. — Niech pan nie zapomina, czego się pan podjął.

— O, ja dotrzymam słowa — odparł sekretarz.

III.

Jego wysokość, książę Kurdystanu dopiero co zjadł drugie śniadanie, chociaż to już była godzina trzecia popołudniu. Egzotyczny książę wyglądał znacznie starszej, aniżeli liczył lat. Pomijając ciemny kolor ciała i żółto zabarwione białka oczu, możnaby go wziąć za europejczyka bardzo opalonego. Tem bardziej, że ubierał się wedle najnowszej angielskiej mody. Rysy twarzy miał bardzo regularne i wcale nieodpychające; tylko koło ust błakał się ów okrutny rys, który zdradzał, że pod powłoką zachodniej kultury kryje się natura dzikiego tygrysa.

— Dla nikogo niema mnie w domu, prócz pana Denversa — zawołał za odchodzącym służącym, rozparłszy się wygodnie w fotelu i zapalając papierosa.

W chwili potem zaanonsował mu służący przybycie Denversa, którego przywitał z łaskawą uprzejmością.

— A więc pan znów powrócił? — zapytał, przypatrując się bystro młodemu człowiekowi. — To istotnie szczęśliwie, bo usilnie starano się o to, by pana sprzątnąć z drogi.

— Tak jest, ze strony pana Frobishera, — przytaknął Denvers spokojnie.

Książę powstał, przeszedł się po pokoju, poczem odsunął ciężką, aksamitną portyere, odsłaniając widok malej, ale przepelnionej rzadkimi okazami orchidei, oranżeryi. Potentat azjatycki miał taką samą pasję do orchidei, co i milionier Frobisher i tylko dla tej malej cieplarni zamieszkał w hotelu stosunkowo marnym. Powietrze w cieplarni było nadmiernie duszne, ale księciu widocznie nie było n'e miłem.

— A więc — rzekł wracając na swe miejsce. — Frobisher dowiedział się że pan kręci się koło jego wychowawcy, co do której on jednak ma inne plany. Młoda panna podobno jest bardzo energiczna i będzie umiała przeprowadzić swoją wolę.

— Czy wasza wysokość nie zechciałby sprawy panny Lyne i mojej mnie pozostawić? — przerwał niecierpliwie Denvers.

Książę odparł:

— Nie miałem wcale zamiaru obrazić pańskich uczuć, panie Denvers, lecz tylko wyjaśnić chciałem, dlaczego chciano pana się pozbyć. Ja pana lubię, panie Denvers. Wśród wszystkich tych ludzi, z którymi się stykam, pan jest jedynym człowiekiem uczciwym. Dlatego życzę panu dobrze i radzę być ostrożnym. Prócz Frobishera ma pan jeszcze jednego śmiertelnego wroga.

— Kogo? — zapytał zdziwiony Denvers.

— Czy pan istotnie jest taki ślepy? — odparł książę, potrząsając głową. — Czy pan zapomni o Jerzym Arnott? On wprowadził ma wygląd naiwny, jak krowa, ale śmiech jego jest śmiechem szakala. Niech mi pan wierzy, pod tą czaszką cielecą kryje się chytry mózg. A serca ani sumienia ten człowiek nie posiada. Z Frobisherem jest w wielkiej przyjaźni. Obaj z pewnością knują jakiś plan, a ceną zwycięstwa dla Arnotta ma być ręka pewnej młodej dziewczyny, której nazwiska wymienić nie chcę.

Denversa opanowało uczucie niezadowolenia.

— Czy pan chce przez to powiedzieć, że Arnott podczas mej nieobecności rzeczywiście...

Rzeczywiście! Oto stosowne wyrażenie — przerwał żywo książę. — Ja to panu jeszcze kiedy dowiodę. A teraz, pan pewnie przyszedł w sprawie koncesyi na kolej żelazną.

— Proszę wybaczyć, wasza wysokość, koncesyi, którą mi wasza wysokość przyobiecać raczył.

— Daj pan pokój tym tytułom — rzekł książę. — Nazywa mnie pan wysokością, a w głębi duszy uważa mnie pan za osła, który buduje sobie sam grób wypróżnianiem butelek alkoholu. Entre nous, przyrzekłem panu wprowadzić ową koncesję, ale pan jej otrzymać nie możesz.

Harold za dobrze znał księcia, aby dać po znać po sobie, jakie wrażenie słowa te na nim uczyniły. Książę zdawał się jednak odgadywać, co się w jego duszy dzieje, bo ciągnął dalej:

— Sprawa ma się mianowicie tak: pan wie, jacy zabobonni są moi poddani, zna pan także „historię „niebieskiego kamienia z Ghan“. Jest to właściwie kosztowny rubin, talizman, z którym nie rozłączał się żaden władca Kurdystanu. Gdybym kamień ten sprzedał, albo się go w inny sposób pozbył, cóż stałoby się ze mną, gdybym do kraju wrócił?

— Ludność rozszarpałaby pana, a ciało spaliła.

— Bardzo słusznie. Przyzna pan chyba, że to ciężka sprawa dla człowieka, który nie zawinił nic ponadto, że się znalazł w opałach finansowych. Tym razem istotnie wpadłem bardzo, albowiem zapuściłem się w nieszczęśliwe spekulacje, a w kraju nie ściągnięto ani połowy podatków. Wskutek tego, krótko mówiąc, zastawiłem „niebieski kamień“.

Denvers osłupiał. Dla księcia sprawa ta mogła się stać zatafata. Nie był on wśród swych poddanych lubianym, bo popierał kulturę zachodu. Gdyby się o jego posępkę dowiedziało, musiałby być na to przystojowanym, że co najmniej by go wypędzili z kraju.

— Postąpił pan bardzo lekkomyślnie — zauważył Denvers.

— Innemi słowy, zrobiłem głupstwo — przyznał książę, spoglądając na swe paznokcie. — Prędeż, czy później wykupię go przecież. Na nieszczęście dla pana, panie Denvers, ubiega się o koncesję Lefroy, a w dodatku skądś się dowiedział, że nie mam „niebieskiego kamienia“.

— Czy wykorzystuje on tę wiadomość, aby nacisk na pana wywierać?

Oczy księcia błysnęły złowrogo.

— Tak, chociaż za mądrym jest na to, by to czynić otwarcie. „Niebieski kamień“ ma na jednej stronie herb, którym pieczętują ważne dokumenty. Spółka, w której imieniu pertraktuje Lefroy, nie chce prowadzić dalszych pertraktacji, dopóki nie otrzyma odcisku pieczęci na wosku. Tak mi przynajmniej oświadczył z chytrym uśmiechem Lefroy. Uśmiech ten łatwo mógł być jego uśmiechem ostatnim. Tak, gdyby to nie był Londyn!

W podnieceniu przeszedł się książę kilkakrotnie po malej cieplarni, podobny do rozjątrzonego tygrysa.

— Cóż mu pan odpowiedział? — zapytał Denvers po chwili. — Cemu pan nie odmówił z tem upozorowaniem, że z odbitej na wosku pieczęci dałoby się łatwo sporządzić fałszywą pieczęć?

— Na proroka! O tem nie pomyślałem — rzekł książę, przystając. — To przecież cudowne! Wprowadzić trochę czasu zejdzie, ale to nic. Tymczasem muszę maskę zachować i zasłaniać się wybiegami, które wy, europejczy, nazywacie dyplomacją Denvers, pan przecież otrzyma koncesję.

Harold mruknął parę słów podziękowania, chociaż w przyrzeczeniu księcia nie wierzył. W prawdzie książę był dlań sympatycznie usposobionym i jednak tam, gdzie wchodziły w grę sprawy pieniężne, nie można mu było zbyt ufać. Na szczęście Denvers jeszcze jeden atut miał w ręku.

— Wiem — odpowiedział z lekkim zaakcentowaniem słów — że mi pan przyrzekł poparcie, gdybym panu dostarczył orchideę purpurową.

Ach, tak! — odparł żywo książę. — Gdybym mojemu ludowi mógł przywieść orchideę purpurową, miałbym u nóg cały Kurdystan. Denvers — tu wstrzymał oddech, — czy pan znalazł może tą orchideę?

Anglik skinął głową.

— Dużo przeżyłem przygód, nim odnalazłem ten cenny kwiat, w końcu jednak udało mi się przewieźć go ukryty w worku z tytoniem. Gdyby pan...

W tej chwili wszedł służący z biletem wizytowym na srebrnej tacy. Książę spojrzał i skrzywił się.

(Ciąg dalszy nastąpi)